Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 18. Grudnia 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 51.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6 m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

ZEFIREK

OBRAZEK Z ŻYCIA KOBIET

przez

ELIZĘ ORZESZKOWĄ

(Dokończenie).

Mówiła, że nikt sobie wyobrazić nawet nie może, ile ją kosztuje rozstanie się z fortepianem, ale cóż począć? Nic kosztownego więcej nie posiada. Rozalja ma więcej od niej znajomości na mieście... niech postara się o kogoś, ktoby chciał nabyć i zaraz zapłacić. Rozalja przyrzekła chętnie a potem zauważyła, że pani radczyni bardzo źle wygląda i zapytała czy nie czuje się chorą?

— Niedobrze mi, istotnie niedobrze — odpowiedziała drżąc z zimna i ogarniając się chustką, którą na sobie miała.— Jakże może byc inaczej? Tyle na raz zmartwień i wzruszeń, a zdrowie miałam zawsze delikatne. Ktoby to przypuścił, że Staś wyjedzie bez pożegnania się z nami?

Rozalja, wzdychając odpowiedziała.

— Nie mógł widać inaczej... biedaczek! On zawsze taki grzeczny był, dobry, miły...

Kilka minut jeszcze szeptały o Stasiu a Żyrewiczowa nie przestawała utrzymywać, że w postąpieniu jego, ukrywa się jakiś dramat, fatalizm, coś tragicznego, coś... takiego...

W parę dni potem Rozalja oznajmiła sąsiadce swej, że znalazła już na jej fortepian kupca, który zaraz, tegoż samego dnia, zapłaci umówione pieniądze, ale też i sprzęt nabyty zaraz zabierze. Przed wieczorem, Brygida poszła do sklepiku w celu uproszenia trochę chleba i krup na kredyt a Żyrewiczowa siadła przy fortepianie.

— Ostatni raz! — szepnęła — ostatni raz!

Drżącą ręką wygrała pasaż jakiś, potem część jakiegoś walca, aż urwała nagle i z cichem wtórzeniem akordów, głosem nabrzmiałym łzami, śpiewać zaczęła.

O! powiedz mu, że niepojęta siła,
Do jego życia, wiąże moje dni!
O! powiedz mu...

Tu ozwały się w sionkach liczne, ciężkie kroki. Tragarze przychodzili po fortepian. Wstała, usunęła się na bok i chustką zasłaniając sobie usta, patrzała w milczeniu na robotę tragarzy. Lecz gdy fortepian dźwignięty z ziemi i na kilku silnych plecach oparty, wysuwać się już począł z pokoju, rzuciła się ku niemu, zaczęła chwytać i obejmować go z tyłu i z przodu, z głośnem wołaniem.

— To przeszłość moja... to młodość moja... szczęśliwe czasy moje, odchodzą odemnie... odchodzą... odchodzą!...

Potem, w mieszkaniu zrobiła się cisza. Rozalja w milczeniu siedziała na kanapce a Żyrewiczowa gorączkowym krokiem przebiegając pokój, gorączkowo też prędko i długo mówiła. W mowie tej przebiegała całe swoje życie. Skarżyła się naprzód na to, że rodzice zbyt młodo za mąż ją wydali. Gdyby była starszą, zrobiłaby inny, stosowniejszy dla siebie wybór. Potem, opowiadała o mężu, że był to dobry, bardzo dobry człowiek, ale nie rozumiał jej nigdy, nie mógł zadowolnić wznioślejszych jej uczuć a nakoniec zostawil ją z takim małym funduszem. Brygida wrodziła się w ojca; dobra to dziewczyna, ale jakaż z niej pociecha? Taką ma grubą, pospolitą naturę, że ani partji dobrej zrobić, ani przyjaciółką i powiernicą matki być nie może. Gdyby synowie jej hodowali się byli i żyli dotąd! ale cóż? albo to ona kiedy dobre i wierne sługi miała? Niańki były dobrze opłacane za to, żeby dzieci pilnowały a jednak niedopilnowały a dwa nieszczęścia, jedno po drugiem, jak gromy spadły na nią. I w sposób ten, całe życie jej przeszło na samych tylko tęsknotach, zmartwieniach i wyrzekaniach się wszystkiego. W sercu swem nosi ona kilka mogił; są to mogiły rodziców, męża, synów a teraz, teraz gdy czuje, że skrzydła jej złamały się już zupełnie, gdy zmęczona jest i taką zbolałą, utraciła majątek cały, fortepian swój i ostatnią zapewne na ziemi bratnią duszę.

Mówiła to wszystko szybko i żałośnie ale bez łez. Owszem, oczy jej błyszczały sucho i gorączkowo, na policzkach miała niezdrowe rumieńce i z dreszczami otulała się w ciepłą chustkę. Kiedy w godzinę po wyniesieniu fortepianu Rozalja wychodziła, Żyrewiczowa żywo zwróciła się ku niej.

— Moja panno Rozaljo — rzekła — jeżeli tam spotkasz mego Ignacego, to powiedz mu, żeby prędzej do domu szedł, bo chora jestem i potrzebuję opieki. A Konradka i Edzia, każ wynieść do dalszych pokojów, bo płaczą bardzo a mnie serce od ich płaczu rwie się.

Rozalja uczyniła gest taki, jakby przeżegnać się chciała ale potem, wstrząsnęła znacząco głową i wołając Brygidy wybiegła.

Brygida nastawiała w sionkach samowar.

— Bryniu, — rzekła do niej — idź po doktora dla matki, chora jest, w gorączce bredzi.

Chorowała długo i ciężko, nie umarła jednak. — A gdy pierwszy raz po chorobie wstała z łóżka, w pokoju nie było już ani kanapki, ani szafy na suknie, ani nic z tego, cokolwiek z posiadanej przez nią ruchomości spieniężonem być mogło. Pusty pokój, z nagiemi ścianami ponuro

wyglądał przy białem świetle zimowego, śnieżystego dnia. Przy oknie, z grubego płótna zszywając worki takie, w jakich mąkę wożą z młynów, siedziała Brygida. Na pięknej twarzy jej, bezsenne noce, trudy, niedostatek i inna może jeszcze zgryzota, wyryły się głębokiemi śladami. Widząc, że matka wstała i dość pewnym już krokiem przeszła się po pokoju, ze spuszczonemi na robotę oczami, rzekła:

— Mamo, trzeba mi w służbę iść. Zupełnie już nie mamy z czego żyć.

Poszła w służbę, za pokojowę, do jakiegoś dostatniego domu, któremu zarekomendowała ją Rozalia, bo do żadnej innej służby uzdatnioną nie była. Kazimierz Sośnina nie przyjechał już więcej nigdy, a raczej, bywał zapewne w Ongrodzie ale z nią widzieć się nie starał. Nic dziwnego. Mularz, nie rycerz ani wice hrabia. Czasu może zabrakło mu, albo wśród ciężkiej pracy zapominał o »czarnookiej« tak często, że nakoniec i całkiem o niej zapomniał, być może też, że »siwa gołąbka« raiła mu na żonę jaką nie panienkę i nie z takiego domu gdzie córki wyklinają, a on wpływom jej ulegał...

Brygida prędko zmieniła miejsce i zmieniała je potem często. Uznawano ogólnie, że była uczciwą i pracowitą, ale ponura jak noc i popędliwa jak burza, nikogo do siebie nie przywiązywała i sama z nikim żadnym trwałym węzłem spoić się nie mogła. Od czasu pewnego szczególnej zaczęła ona spadać coraz niżej. Raz, idąc przez ulicę z koszykiem w ręku, posłana zapewne po sprawunki, spotkała Rozalję. Zrazu zdawała się być zadowoloną, z widoku dawnej znajomej swej. Przywitały się. Było to już w lat kilka po owej porze, gdy mieszkały na jednym dziedzińcu.

— Cóż tam z wami? — zapytała Brygida. — Matka twoja żyje?

Rozalja rozgadała się ze zwykłą sobie łatwością. Matka jej od paru już lat nie opuszczała łóżka. Artrytyzm miała w rękach i nogach, wychudła strasznie i leży sobie biedactwo, niby figurka woskowa, tak żółta i nieruchoma. Ale nie skarży się nigdy na nic, nie narzeka, nie wybredza; czasem tylko stęknie z bolu i to w nocy, kiedy myśli, że Rozalja śpi i nikt a nikt słyszeć tego nie może. Żyją ze sprzedaży robótek Rozalji i z tego, co im przysyłają obywatele okoliczni. Przysyłają! przysyłają! pani marszałkowa to beczkę kartofli, to trochę krup i bułkę chleba, Sanniccy to kilka rubli, to kilka złotych, jak mogą, bo i oni też w interesach nieszczególnych. Odropolski rubla na miesiąc regularnie i inni jeszcze inni. Pomimo to przymierają czasem głodem a mieszkanie mają takie, że w zimie szron i lód na ścianach. Cóż robić jednak? Zrobiły to, co powinny były zrobić i nie skarżą się na nikogo. Nikt im nic nie zawinił, a nawet gdyby nie choroba matki, wcaleby im źle nie było. Spokojne mają sumienie.

— A ty Bryniu?

Brygida niechętnie ręką skinęła. Zwyczajem swoim do zwierzeń nie była skłonną. Rozalja wzamian mówiła za nią i za siebie.

— Aha! wiesz, ten twój konkurent dawniejszy! ożenił się. Wypadkiem zaszłam raz do kościoła i trafiłam na jego ślub. Z szewcówną jakąś podobno, ale śliczną dziewczyną, brunetką tak jak ty.

Po twarzy Brygidy przebiegło kilka szybkich drgnień. Silnem uściśnieniem ręki pożegnała towarzyszkę i prędko odeszła. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, weszła w dziedziniec jakiś, postawiła kosz na ziemię, i czołem opartem o cegły ślepego jakiegoś muru, z twarzą w dłoniach, krótko i gwałtownie zapłakała. Wielki czarny pies, który od paru już lat ślad w ślad zawsze za nią chodził, wspiął się na ramię jej i polizał jej rękę. Przestała płakać, pogładziła psa, porwała kosz i dalej pobiegła.

Ot tego to dnia właśnie stawała się stopniowo apatyczną i leniwą. Opuszczała ją nawet zwykła jej pracowitość. Ogromne zawsze jej włosy, z kruczych stały się popielate, zgasłe oczy obojętnie patrzyły na wszystko i wszystkich, a gdy ze zwiędłą twarzą, wpół ukrytą w starą, zrudziałą chustkę, przechodzi ulice miasta, za nią idzie zawsze pies jakiś, za którym ona ogląda się niekiedy tak troskliwie, jak gdyby przedstawiał on całe już jej dobro na świecie i całe kochanie. Często tygodniami i miesiącami zostaje bez służby. Wtedy mieszka z matką, żyjącą w małej izdebce, znajdującej się w starych i opuszczonych murach klasztornych, a w której bezpłatnie mieszkać pozwala jej zwierzchność kościelna. W porach tych bezrobocia, Brygida najmuje się dziennie do prania, maglowania, oprzątania mieszkań, które miejscowych sług nie posiadają, nawet do noszenia wody, a Żyrewiczowa...

Wszystkie mniej więcej dostatnie rodziny mieszkające w Ongrodzie, znają kobiecinę szczupłą i mizerną, która do mieszkań ich wchodzi, od czasu do czasu, w sukni podartej lecz ozdobionej strzempkami różnych frendzli i wstążek, w kapeluszu starym również lecz przystrojonym zmokłem najczęściej odwiecznem piórem i starannie na ufryzowane nioby włożonym. Posuwistym i dygającym krokiem zbliża się ona do gospodyni domu i jeżeli to jest pierwsza wizyta, podaje jej we czworo złożony arkusz papieru. Na papierze tym znajduje się długie pisanie, zaczynające się od słów: »Jaśnie wielmożni państwo dobrodziejstwo! ze szlachetnej familii pochodząca, podupadła na zdrowiu i majątku, wdowa po urzędniku, ośmiela się wznieść błagające oczy ku wspaniałomyślnym obliczom tych, którzy i t. d.«

Jeżeli przychodzi do domów, w których już jest znaną, nie podaje już papieru owego, ale staje o kilka kroków odedrzwi i błękitnemi zawsze jak turkusy oczami, patrzy w twarze obecnych; spojrzeniem tem zdaje się prosić, aby obeszli się z nią dobrze i choć na chwilę przypuścili ją do towarzystwa swego. Przez współczucie, z nudy dla przepędzenia czasu, czynią to niektórzy. Proszą ją, aby weszła do bawialnego pokoju, gdzie siada ona zaledwie połowę krzesła zająć śmiąc, lecz wnet korzystając ze sposobności powiedzenia czegoś o swoich dawnych czasach, zapytana o przeszłość, zaczyna zwykle od »domu rodziców swoich.«

— Kiedy byłam w domu rodziców moich — mówi — nazywano mię Sylfidą.

— Dla czegoż to? — pytają obecni.

Z rumieńcem i uśmiechem spogląda na kibić swą i opowiada.

— Taka byłam zawsze szczupła, wiotka... potem mówi jeszcze, że nieboszczyk mąż jej i cała jego rodzina nazywali ją zefirkiem a to dla tego, że nadzwyczaj lekko tańczyła i taki miała charakter, że nigdy żadnego stałego postanowienia zrobić nie mogła... Dziś to, jutro tamto jej się podoba, zwyczajnie gdy człowiek w szczęściu i wygodach wszelkich zostaje...

Szczególniej pożądliwemi oczami patrzyła ona zwykle na wszelki fortepian. Wiedziano o tem, że kiedyś grać i śpiewać umiała i czasem, dla rozrywki albo i dla zrobienia jej przyjemności, proszono ją, aby siadła do fortepianu. Czyni to zawsze z uszczęśliwieniem widocznem; zdejmuje rękawiczki z podartemi palcami i błogo uśmiechając się uderza kilka cichych, smętnych, trochę fałszywych akordów. Dzieci domu chichoczą po kątach pokoju, dorośli uśmiechają się z litością lub ironicznie ruszają ramionami, ale ona, zachwycona fortepianem, talentem swym i zaszczytnem towarzystwem, w którem się znajduje, głosem czystym i dźwięcznym, ale nadzwyczaj słabym i co chwila konającym, śpiewać zaczyna.

— O powiedz mu, że niepojęta siła...

Umie wiele innych jeszcze piosenek a po tamtej najulubieńszą z nich jest dla niej:

— O gwiazdeczko coś błyszczała
Gdym ujrzała świat.
Czemuż, czemuż gwiazdko mała i t. d.

Najczęściej, w chwili właśnie gdy w największym zapale dośpiewywa drugą czy trzecią strofę swej piosnki, do pokoju wchodzi gość albo pan domu, który nie lubi jej, czy też po pracy, zgłodniały, dopomina się o obiad lub wieczerzę. Wtedy wkładają jej w rękę parę złotych i dają do zrozumienia a w niektórych miejscach mówią nawet otwarcie, aby co prędzej szła sobie precz.

KONIEC.

PIĘKNO OSOBY LUDZKIEJ

STUDJUM HERBERTA SPENCERA.

Zwykle powiadają, że nie ma żadnego związku między pięknością charakteru i pięknością fizyczną. Jest to zdanie, na które nigdy nie mogłem się zgodzić. I rzeczywiście, nawet ci, co się na nie zgadzają, biorą je w bardzo niezupełnem znaczeniu; gdyż łatwo zauważyć, że wbrew swej teorji wyrażają zwykle zdziwienie, widząc nizki postępek człowieka o szlachetnym wyrazie twarzy: fakt ten jasno dowodzi, że pod

zasłoną swej oficjalnej teorji, żywią oni inne przekonanie, które się z nią wcale nie zgadza.

Zkąd pochodzi to przekonanie? Jak powstało to wierzenie pierwotne w związek między godnością i pięknem? Nie może być ono wrodzonem. Nie wynikło li zatem z doświadczenia czasów pierwotnych? I czy u tych, którzy dalej wierzą w ten związek, pomimo rozumowań teoretycznych, głębokie doświadczenie pierwszych lat życia nie przeważyło faktów świeżo obserwowanych i wyjątkowych?

Pomijając stronę metafizyczną tej kwestji, będziemy się starali rozpatrywać ją ze strony fizjologicznej.

Ci, którzy nie przypuszczają powinowactwa między pięknością umysłu i pięknością twarzy, znajdują zwykle związek między charakterem i wyrazem twarzy. Powątpiewając lub wcale nie przypuszczając, aby stałe kształty powierzchowności, mogły jakim bądź sposobem wskazywać istotę moralną człowieka, znajdują oni wskazówki tego rodzaju w przemijających formach rysów twarzy. Dwa owe twierdzenia nie zgadzają się z sobą, gdyż przyznać trzeba, iż przemijające formy rysów wiecznie się powtarzając, odbijają się na twarzy i wytwarzają formy rysów stałe. Czyż zwyczaj marszczenia brwi nie czyni zwolna niezatartych śladów na czole? Zaś mina pogardliwa, stając się chroniczną, czyż nie dodaje nowego zagięcia kątom ust? bo to ich zaciśnięcie, które jest oznaką stanowczości, czy nie staje się częstokroć stereotypowem, a przez to czyliż nie zmienia kształtu dolnej części twarzy? I jeżeli jest choć część prawdy w nauce o dziedziczności, to czyliż nie powinna istnieć dążność do powtórzenia tych zmian w potomstwie, jako nowych typów powierzchowności? Nie mamyż więc racji mówiąc krótko, że wyraz jest fizjognomją w stanie ruchu; i jeżeli wyraz ma jakie znaczenie, to i kształt, jaki on nadaje rysom, ma także pewne znaczenie. Mogą nam zarzucić, że zmiana w wyrazie działa tylko na muskuły i skórę twarzy; że trwałe ślady tych zmian, pozostają jedynie na nich, nie sięgając głębiej; tymczasem piękno twarzy zależy głównie od jej układu kostnego; i z tego to względu, co najważniejsza, zmiany powyżej opisane nie mogą mieć miejsca; ostatecznie więc, chociaż między powierzchownością i charakterem może istnieć odpowiedniość w szczegółach, to jednakże nie dotyczy ona całości.

Odpowiem na to: budowa kości zmienia się skutkiem zmiany w tkankach, które je pokrywają. W fizjologji przyjętą została nauka, że większy lub mniejszy rozwój kości całego szkieletu, zależy od większego lub mniejszego rozwoju, t. j. (wprawy) ćwiczenia mięśni przymocowanych do niego. Dla tego ciągłym zmianom w układzie mięśni twarzy, towarzyszy ciągła zmiana w układzie jej kości.

Aby się nie zatrzymywać na twierdzeniach ogólnych, które dla wielu czytelników bardzo małej są wagi, przytoczę kilka wypadków, gdzie związek między brzydotą fizyczną a nizkim stopniem moralności i odwrotnie, związek między pięknością fizyczną i względną doskonałością umysłu, bardzo wyraźnie daje się spostrzegać.

Wszyscy zgadzają się na to, że wystające szczęki, rys charakterystyczny niższych ras ludzkich, jest wadą twarzy: jest to rys, jakiego by żaden rzeźbiarz nie zechciał nadać popiersiu idealnemu. Zarazem niewątpliwą jest rzeczą, że wystające szczęki zwierząt ssących odpowiadają w ogólności słabej inteligencji. Bez wątpienia związek ten nie zawsze bywa w jednakowym stopniu, nie jest prostym, lecz pośrednim i wskutek tego może być naruszony. Pomimo to, jest prawdziwym dla wszystkich gatunków wyższych, a przy bliższem badaniu zobaczymy, dla czego tak być powinno. Zgodnie z wielkiem prawem fizjologji, według którego organa rozwijają się odpowiednio ich ćwiczeniu, szczęki powinny być silniejsze tam, gdzie muszą wypełniać wiele roboty, a zmniejszać się w swej objętości, gdy funkcje ich mniej liczne i łatwiejsze. U wszystkich zwierząt niższych gatunków, szczęki są jedynym organem manipulacji, używają się one nietylko do żucia, lecz i do chwytania, noszenia, słowem do wszystkiego, z wyjątkiem ruchu zmiany miejsca, jedynej czynności wykonywanej kończynami. Przechodząc do wyższych zwierząt, uważamy, że przednie kończyny zaczynają pomagać szczękom i stopniowo oszczędzać im trudu. Jedne zwierzęta używają ich do wykopywania nory; inne, jak n. p. koty do walki, wiele z nich do mocniejszego trzymania zdobyczy, którą rozszarpują; a u czwororękich, których przednie kończyny obdarzone są tak wielką siłą, iż nie tylko mogą chwytać przedmioty, lecz podnosić je i rozłamywać, szczęki używają się jedynie prawie do rozmiękczania żywności. Badając ów szereg zmian, widzimy odpowiednią dwojaką zmianę w kształcie głowy. Najpierw, ponieważ członki są więcej skomplikowane, czynność ich bywa rozmaitszą, a wrażenia, jakie przezeń otrzymujemy, liczniejsze, przez co mózg i jego pokrywy dosięgają wyższego rozwoju. Jednocześnie rozmiar szczęk zmniejsza się w miarę zmniejszenia ich czynności. Wskutek jednoczesnego podawania się górnej części czaszki naprzód i cofania jej dolnej części, powiększa się tak zwany kąt twarzowy.

Zmiany odpowiednie w funkcjach i kształtach trwały zawsze w ciągu cywilizowania się rodu ludzkiego. Porównajcie Europejczyka z Papuasem: pierwszy rozkrawywa jedzenie nożem i widelcem, a drugi rozrywa je szczękami; to co jeden rozmiękcza gotowaniem, drugi łyka zupełnie surowe; pierwszy gotuje z kości zupę, drugi je gryzie; możnaby wyliczyć wiele innych robót mechanicznych, do których pierwszy używa narzędzia, a drugi swych zębów. Zaczynając od stopnia rozwoju Buszmana, aż do dzisiejszej kultury, człowiek nieustannie mnożył i urozmaicał środki swej czynności. Nietylko używamy rąk dla ochrony szczęk naszych, lecz sporządzamy instrumenta dla oszczędzania rąk, zaś w naszych fabrykach maszyn znajdują się narzędzia do robienia narzędzi. Postępowi w przemyśle koniecznie musiał towarzyszyć postęp umysłowy. Każdy nowy wynalazek mógł powstać tylko przez nowy wzrost inteligencji; a wynalazek ten w codziennem użyciu przyczynia się do powiększenia inteligencji w ogóle. Takim sposobem jednoczesne występowanie naprzód kości czołowej i cofanie się szczęk, któremu u niższych zwierząt towarzyszyło wzrastanie zgrabności i pojętności, również ciągle towarzyszyło rozwojowi ludzkości od epoki barbarzyństwa do czasów cywilizacji, a zawsze był to rezultat ćwiczenia i postępu zdolności umysłowych. Takim sposobem staje się zrozumiałym związek organiczny między tem wystawaniem szczęk, które jest dla nas tak szpetnem, i pewnym stopniem niższości natury. Tak samo wydatność kości policzkowych, która także charakteryzuje niższe ludzkie plemiona, a w naszych oczach jest również przeciwną piękności, znajduje się w związku z przyzwyczajeniami i nizkim rozwojem umysłu. Szczęki zamykają się za pomocą muskułów skroniowych, skutkiem czego te ostatnie są głównymi działaczami przy kąsaniu i żuciu. W miarę roboty szczęk i ich objętości powinna rozwijać się także siła muskułów skroniowych. Ale muskuły te przechodzą pomiędzy czaszką i bocznemi częściami kości policzkowej, (które właśnie tworzą wygięcie). Ztąd wynika, że gdzie muskuły skroniowe są grube, tam i przestrzeń między łukami policzkowemi a czaszką, powinna być znaczną, jak również boczna wypukłość kości policzkowych: widzimy to u Mongołów i innych ras niecywilizowanych. Dla tego też wielkie szczęki i niezwykła wielkość kości policzkowych (dwie te rzeczy zawsze razem mają miejsce), zarazem są brzydotą i cechą niedoskonałości.

Nie tak łatwo jest wykazać związek między innemi wadami fizycznemi i wadami umysłu: jednakże mamy prawo przypuszczać, że związek taki istnieje, a przyczyną takiego przypuszczenia jest ciągła odpowiedniość wspomnianych wad: widzimy to u dzikich, jako też u dzieci ras cywilizowanych. Pewne właściwości twarzy towarzyszą regularnie wadom charakteryzującym nizki stopień rozwoju umysłowego: znikają one, gdy stan barbarzyństwa przekształca się na cywilizację; mamy więc rację wnioskując, iż mają one także psychologiczne znaczenie. Wklęsłość osady nosowej, cecha wyróżniająca jednocześnie barbarzyńców i nasze dzieci, jest również właściwością wyższych czwororękich.

PISMIENNICTWO.

Johann III. König von Polen, Sobieski, in Wien. Mit Hineinverwebung einer Geschichte der sieben Königinen von Polen aus dem Hause Oesterreich. Ein Erinnerungsbuch an 1683 für 1883 zum 200 jährigen Jubileum der Befreiung Wiens von der Türkenbelagerung.

Ocenił L. Tatomir.

(Dokończenie).

Kończąc rzecz o Konstancji, zapisuje ks. R. jeszcze jeden fakt wielkiej wagi, a to, że w wielki czwartek „karmiła“ na zamku dwanaście-ro ubogich, usługując im razem z małżonkiem, „ale żeby im miała myć nogi, o tem nie ma nigdzie mowy.“ Wyliczywszy następnie potomstwo Konstancji, opowiada o jej śmierci i o śmierci jej męża, który od straty żony miał „zawsze zapłakane oczy.“ Pogrzebawszy ich nakoniec oboje w *Psaltersten-Capelle* (to ma znaczyć, w kaplicy Psałterystów), wraca do wojny szwedzkiej za Zyg. III, co nastręcza mu znowu sposobność do pomówienia trochę o Wallensteinie, a idąc dalej odwrotnym porządkiem chronologicznym, od trumny do kolebki, pisze potem o elekcji Zygmunta III. i arcyks. Maksymiliana, o bitwie pod Byczyną, o koronacji, przy której sposobności wtrąca rok urodzenia Zygm. III., i kończy nareszcie rzecz całą o tym królu historją Maksymiliana.

W tym nader zajmującym ustępie, który jest niby jakaś *ola potrida* historyczna, dowiadujemy się różnych ciekawych rzeczy, jak np: że Zygm. koronował prymas *Komeniowski* (jest

*

to ten sam, który na str. 35 nazywał się *Kornokowski*), że Djabeł Stadnicki był starostą *Zygaul*, że Zamojski ścigał arcyks. Maksymiliana do *Moasun*, a obok tych i takich szczegółów, że Wallenstein miał „teatralne maniery,“ że zburzył sto domów w Pradze, aby na tem miejscu zbudować swój pałac, że na jego stole nie było nigdy mniej, niż sto dań, że arcyks. Maksymilian nim poszedł do obozu polskiego, aby oddać swój oręż w ręce zwycięzkiego Zamojskiego, zjadł kuropatwę i pokropił ją szklanką wina (szkoda że ks. R. nie podaje dla dokładności czy białego, czy czerwonego). Prawda, że zdumiony czytelnik nie może pojąć, skąd w historji Sobieskiego znajduje tak przeróżne perły erudycji historycznej, i skacze przez kartki, jak konik polny przez gęsto zarośniętą, a pstrokatą łąkę w nadziei, że przecież raz odszuka Sobieskiego, który utonął tak w tym chaosie, że o nim ani słychu, ani dychu — ale ks. R. widocznie postanowił sobie wyrabiać w swoich czytelnikach chrześcijańską cnotę cierpliwości, a przy tem jest tego zdania, że im kto więcej wie, tem lepiej, dlaczegożby *à propos des bottes*, nie miał się dowiedzieć i o tem, o czem ks. R. wie, że arcyks. Maksymilian jadał kuropatwy, a Wallenstein miewał sto dań na swoim stole — wszak i to historja!

Pomiędzy Zygm. III. a Wład. IV. wtrąca ks. R. maleńkie intermezzo. Powiada nam, że jedna z córek Zygm. III, była za palatynem Neuburskim, Filipem Wilhelmem, i wyliczywszy jego synów, ale nie z tego małżeństwa, donosi, że tenże palatyn starał się na podstawie swojego pierwszego małżeństwa o koronę polską, ale jej nie otrzymał. Kiedy to było, tego ks. R. nie pisze, ale za to uszczęśliwia nas znowu jedną z tych bystrych uwag, które w zdumienie wprowadzają czytelnika. Gdy Francuzi Palatynat spustoszyli, uciekł Filip do Wiednia, gdzie w r. 1690, sześć lat przed śmiercią Sobieskiego, umarł, „gdyby więc wybór jego był przyszedł do skutku, nie byłby był tak długo królem polskim, jak Sobieski.“ Co za głęboka kombinacja!

Przypomniawszy nam w tym ustępie nazwiskiem Sobieskiego, że mamy w rękach książkę o tym królu, spieszy ks. R. do Wład. IV. i Cecylji Renaty.

Nie śmiemy już dłużej prowadzić czytelnika krok w krok po tym labiryncie myśli szanownego autora, z którego nie wybrnęlibyśmy tak prędko, choćby nam nawet sam ks. R. przysłał jakąś nić Arjadny — i zwrócimy uwagę tylko na niektóre wybitniejsze ustępy. Wystarczą one, żeby *ex ungue cognoscere leonem*.

I tak naprzód próbka stylistycznej ścisłości autora: Wład. IV. ożenił się z Cecylią Renatą „córką cesarza Ferdynanda II. Jej matka Marja była żoną cesarza Ferdynanda II.“ To mi się nazywa wyrażać się ściśle! — a nużby kto pomyślał, że matka Cecylii Renaty nie była żoną jej ojca; po takiej stylizacji już mu ta myśl zdrożna z pewnością nie przyjdzie do głowy. Ta precyzja stylistyczna ks. R. przypomina mi, jak onego czasu na odpuście w Kochawinie opowiadał mi dziad kościelny: „Bo to trzeba wam wiedzieć paniczu, że matka tego Jana była żoną jego ojca, a jego babka, żona jego dziadka, była matką jego matki.“ Było to bardzo dawno, kiedy jeszcze byłem paniczem, jednak ta wzorowa ścisłość wysłowienia nie wywietrzała mi dotąd z głowy, choć głowa posiwiała, i styl klasyczny ks. R. odświeżył mi ją znowu w pamięci, przypominając mi zarazem dwie sentencje francuskie a mianowicie: *Le style c'est l'homme* i *les grands esprits se touche!*

Następuje teraz *tutti-fruti* z panowania Wład. IV. i Jana Kazim. Spotykamy się tu z rozmaitemi figurami, które przed ks. R. nieznane były historykom, jak np. z jakimś panem *Osolini*, z biskupem *Lipicem*, z wojew. *Odalińskim* i dowiadujemy się, że Wład. IV umarł w *Mercy*.

Rozmaite okrawki z panowania Jana Kazimierza spisuje autor ulubionym porządkiem, to jest zaczyna od śmierci, a potem dopiero opowiada o tem, co robił przed śmiercią.

Na str. 56 znowu nam przypomina Sobieskiego, powiadając, że podczas abdykacji Jana Kazimierza zachował się bardzo szlachetnie i że był już wiel. hetmanem i wiel. marszałkiem. Potem przytacza mowę abdykacyjną Jana Kaz., a potem opisuje wojnę szwedzką, a potem rozmaite inne rzeczy, aż wreszcie trąciwszy o Montecuccolego, który żył za czasów Jana Kaz., korzysta z pożądanej — jak powiada — sposobności, aby nam opisać żywot tego znakomitego wodza austrjackiego i pisze o nim sześć stron z okładem. Po Montecuccolim obdarza nas historją Hatzfelda, potem Jana Götza i tym kończy drugi rodział historji Sobieskiego, w którym czytaliśmy najrozmaitsze rzeczy o najrozmaitszych osobach, tylko właśnie o Sobieskim nic.

Brniemy w trzeci rozdział, który rozpoczyna się elekcją króla Michała, i dowiedziawszy się, że prymas *Prazmanowsky* wykluczył z liczby kandydatów Kondeusza, wyczytujemy nakoniec na str. 71: „Teraz jest już najwyższy czas powrócić do Jana Sobieskiego i nie opuszczać go już więcej, aby nie popaść w niełaskę P. T. czytelnika.“ To P. T. przed słowem „czytelnika“, choć przypomina nadto żywo ogłoszenia cyrkusowe i kuglarskie do P. T. publiczności, świadczy jednak o wielkiej delikatności szanownego autora, który ma się na baczności, aby broń Boże komu nie ubliżył, opuszczając należny mu tytuł.

Wracamy tedy znowu do czasów Jana Kaz. i dowiadujemy się, że Marek Sobieski, brat Jana zginął gdzieś, kiedyś, w jakiejś bitwie z Tatarami, w której walczył razem z Janem. Że to było pod Batowem i że tam Jana nie było, o tem ks. R. nie wie. Czytamy dalej o rokoszu Lubomirskiego i o udziale w nim Sobieskiego, spotykamy się znowuż po drodze z rozmaitemi figurami, których nazwiska słyszymy po raz pierwszy w życiu, jak np. *Czarnewsky*, *Szlieminski*, *Modernowski*, którego Sobieski wysłał do *Bezcscic*, i dochodzimy w końcu do sławnej potrzeby Sobieskiego pod *Pahrsicz*. Żeby sobie P. T. czytelnik nie łamał na próżno głowy, w którym też to kącie Polski leży ów *Pahrsicz*, powiemy mu, że o ile z tego bigosiku hultajskiego wyrozumieć byliśmy w stanie następstwo i znaczenie istotne faktów, to zdaje nam się, że mają to być Podhajce!

Z pod tych domyślanych Podhajec, prowadzi nas ks. R. znowu na pole przerwanej w opowiadaniu elekcji Michała i opisuje z właściwym sobie, niezrównanym ładem i składem jego panowanie. Dowiadujemy się tu, że klasztor Częstochowski założony został przez ks. Wład. *Cipolskiego*, który przeniósł do niego cudowny obraz z *Belski* w Galicji, że sejm zerwany został przez szlachcica *Zebobrczki* i że zawiązana była konfederacja w *Golumboc*.

Sądzimy, że moglibyśmy na tem skończyć i P. T. czytelnik miałby tak jasne pojęcie o książce, jak my — chcemy jednak podzielić się z nim jeszcze jedną bodaj wiadomością, zaczerpniętą ze skarbnicy wiedzy ks. R.

Autor, niezrównany w genialnym darze przydominania sobie wypadków i osób, niezostających w żadnym związku z właściwym przedmiotem, i korzystania z pożądanej sposobności do opowiadania rzeczy nienależących do rzeczy — mówiąc o Marji Kazimierze, która podług niego była markizianką *d'Arguin*, przypomina sobie Elżbietę austrjacką, żonę Kazimierza Jagiel. i znajduje pożądaną sposobność do zapisania kilku kartek o Kazimierzu Jagiel. o Janie Olbrachcie i jego doradcy *Callinochim*. Dowiadujemy się z tego ustępu na str. 91, który ks. R. „patrjotyczną exkursją“ nazywa, że Kazimierz Jagiel. był synem Wład. III, który dożył tylko 21 lat i zginął pod Warną. Uderzamy czołem przed tym ogromem wiedzy historycznej autora, i żałując, że nie podaje źródła skąd tę ostatnią wiadomość zaczerpnął (czy może nie z tej Powszechnej historji uczonych angielskich, którą na str. 47 cytuje?) spieszymy z „telegraficzną szybkością,“ jak on od Kazim. Jagiel. napowrót do Sobieskiego i Marji Kazimiery — do końca tej oceny jego znakomitego dzieła.

Autor kończy książkę swoją następującemi słowami: „Ród Sobieskich wygasł, ale król Sobieski i czyny jego żyć będą wiecznie.“ Piszemy się na to zdanie najzupełniej, ale pragniemy dusznie, żeby jego sławy nie otrambiali tacy pisarze jak ks. R, bo gotowi ją przyćmić na wieki. Sobieski może zawołać z grobu z *sarcophargu* swego — jak pisze ks. R: „Boże chroń mię od takich przyjaciół, jak ks. proboszcz am Rennwege, bo od moich nieprzyjaciół obronią mię fakta, sprawdzone krytyką historyczną!“

Gdyby ks. R., zamiast spisywać z tych „wielu wielu“ książek swoich 25 arkuszową książkę *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, był sobie wziął kilka monograficznych prac o Sobieskim, takich np. jak Salvandego, i ułożył z nich popularną, poczytną książeczkę, w poczciwym duchu, po niemiecku napisaną, w celu przypomnienia swoim rodakom zasługi bohaterskiego obrońcy Wiednia — bylibyśmy mu serdecznie wdzięczni i przebaczylibyśmy mu chętnie nawet pewne usterki. Do tego obowiązku nie poczuwamy się jednak wcale względem ks. R. za taką pracę, jaką nas obdarzył, ale za to mamy sobie za obowiązek, upraszać uprzejmie szanownego recenzenta pewnego pisma politycznego, aby nim poleci swoim czytelnikom jaką książkę, raczył łaskawie przedtem przeczytać z niej przecież bodaj coś więcej, niż sam tytuł.

CHWILA ZADUMY.

Zstąpiła do mnie żałość cicha,
Niepożądany gość,
Mówiąc: «Z czarownych snów kielicha
Słodyczy piłeś dość!

«Popatrz na moje smutne oczy,
Drżące perłami łez;
Przyszłam ułudzie tej uroczej
Położyć wreszcie kres».

— «O! płaczko» — rzeknę — z twemi dary,
Do innych wprzódy zstąp,
Cóż winne ci me jasne mary,
Którem skrył w serca głąb?».

— «Na prośbę głuche moje uszy,
Jam twarda jako głaz;
Synowie ziemi! mnie nie wzruszy,
Smutek trawiący was.

«Posłuszna znakom z wyższej woli,
Przed którą wszystko drży —
Zbieram na świata wielkiej roli,
Plon jej zasiewu: łzy.

«I cóż, gdy głos mój się odzywa,
Jak pogrzebowy dzwon?
Im więcej bolu — tem też z żniwa
Bogatszy dla mnie plon».

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Jeszcze nie może się uspokoić wzburzona opinia publiczna, przejęta zgrozą z powodu pogorzeli wiedeńskiego Ringteatru. Rzeczywiście jestto fakt mogący raz na zawsze u ludzi trwożliwego ducha odebrać ochotę uczęszczania na jakiebądź widowiska w miejscach zamkniętych. Przeszło ośmset ludzi padło ofiarą dymu i płomienia, a nie wiadomo kto winien. Smutna i bolesna rzecz, gdy przyjdzie wyobrazić sobie, tę rozpaczliwą walkę zdrowych, przed chwilą wesołych osób, z tak szybko postępującą przed oczy ich śmiercią. Ile tam musiało się odbyć przerażających scen konania, ile wściekłych usiłowań dla ocalenia, trudno sobie wyobrazić. Dość powiedzieć, że w jednym korytarzu pomiędzy zbitą masą uciekających, a jeszcze nie spalonych, tylko uduszonych dymem, znaleziono mnóstwo połamanych nosów, poranionych głów, po których widocznie chodzili inni, jakby po głowach kapusty... Brutalność instynktu zachowawczego człowieka, częstokroć wstrętniejszą jest od takiegoż instynktu zwierzęcia — okrutniejszą niż sama śmierć. Fakt się stał, zginęło kilkaset ludzi, a cała cywilizowana ludzkość współczuje i wzdryga się przed nim. A jednak, przypomnijmy sobie, co się to dziać musi na każdem pobojowisku, na tej rzezalni ludzkości, w imię niby to prawa zasad, honoru i sprawiedliwości! — kilkanaście a czasem i więcej tysięcy najpiękniejszego kwiatu młodzieży założy trupami swemi całe pola, i rzadko z których piersi wyrzuci się okrzyk zgrozy. Przeciwnie, zwycięzca obchodzi tryumf, jest przedmiotem czci i uwielbienia. Matki pokazują go z zachwytem swoim dzieciom, skronie jego wieńczy sława, a wszelkie zaszczyty i honory świata tego, ścielą mu się pod nogi. Tymczasem prócz poległych, ileż to tysięcy, a nawet dziesiątków tysięcy rannych i kalek wlec musi potem długi swój żywot pełen katuszy... z przekleństwem na ustach dla sprawiedliwości Boskiej i ludzkiej... I składek nie zbierają dla nich i w parlamentach milczą, i nikt nie płacze, prócz może najbliższej rodziny, wylewającej ciche łzy gdzieś tam w ustronnej wiosce... Trzeba tedy być sprawiedliwymi w objawach swego żalu, i skoro przypadkowe nieszczęście tak silnie wstrząsa naszem sercem — umieć wyzyskać to uczucie przerażenia, aby oswoić umysły z myślą, że ludzkość może się rządzić i być szczęśliwą bez wojny. Dlatego sądzimy, że na czasie byłoby przypomnieć sobie i o weteranach naszych, także ofiarach szlachetniejszego trochę uczucia, niż prostej ciekawości teatralnej, którzy z całą świadomością tego, co spotkać ich może, nadstawiali z odwagą piersi na kule nieprzyjacielskie. A rzeczywiście wielu z nich, jest prawdziwie w nędzy i potrzebuje od współrodaków pomocy.

Drugie nie tak wprawdzie tragiczne, jednak w objawach swoich zawsze smutne wrażenie, dostarczył w tym tygodniu odbywający się przed sądem przysięgłych we Lwowie proces o obrazę honoru, wytoczony przez radnego tutejszego miasta, liczącego się do inteligencji — przeciw znanemu z gryzącego dowcipu i humoru kronikarzowi Dziennika polskiego... I na czemże ten proces się skończył? Naturalnie uniewinnieniem kronikarza, który punkt za punktem udowodnił świadkami, że czynione w kronice zarzuty szanownemu radcy i inżynierowi, były nie tylko usprawiedliwione, ale nawet powinny się uważać za delikatne i zanadto troskliwie bawełną owinięte. I pytamy się, co za cel występowania z podobnym procesem? Czy zanadto wygórowane uczucie uznania dla własnej swojej osoby i własnych czynów, czy też chęć uzyskania za jakąbądź cenę rozgłosu? Jeżeli o taką sławę chodziło panu radcy miejskiemu, sądzimy, że ją ma, bo czy on sam przemawiał, czy oskarżony, czy którybądź świadek, całe audytorjum, cały sąd, a nawet on sam śmiali się tylko — z niego.

Zresztą we Lwowie cisza, przerywana kiedy niekiedy to wycieczką przeciw posłowi Wolskiemu za jego bardzo wyrafinowane sztuki parlamentarne w rejchsracie wiedeńskim, to ciągnącą się dalej sprzeczką o obraz Unii, to wreszcie wywijaniem koziołków już całkiem naturalnych na ślizkich ulicach naszego miasta. Bracia nasi po piórze jednak nie drzemią i krzątają się, aby z Nowym Rokiem obdarzyć publiczność wielu niespodziankami. We Lwowie ma się pokazać „Różowe Domino“, pismo humorystyczno-satyryczne, w Warszawie wielki, ale to bardzo wielki dziennik „Słowo“ z dążnością umiarkowanie konserwatywną, pod redakcją znanego powieściopisarza Henryka Sienkiewicza, w Krakowie znowu, dzienne pismo także umiarkowane, ale liberalne. Więc będzie co czytać po Nowym roku, daj Boże, aby tylko coś strawnego i posilnego, bo wśród obecnej sieczki dziennikarskiej, żeby człowiek niewiedzieć jak lekko chciał dmuchać, mało mu z tej lektury zostanie ziarna. Szczególniej warszawska prasa coraz bardziej rozbija się na pyłki, goniąc nawet ulatujące po bruku misterne główki nasienia *podróżnika*, ma się rozumieć rośliny a nie turysty zwiedzającego obce kraje. Wziąwszy którą bądź z polskich gazet do ręki, to jak się zacznie oddzielać z niej różne wzajemne pożyczki i rabunki, w końcu tak mało zostanie własnej esencji, że zaczyna się wierzyć owej myśliwskiej anegdotce, w której wilk wskoczywszy na sanki, póty operował ciągnącego takowe konia, aż wreszcie zjadłszy go ze szczętem sam nadział się w chomonto i ciągnął dalej.

* * *

Czujemy się w obowiązku sprostowania ostatniej naszej kroniki o tyle, że mówiąc o sprawie obrazu „Unja Lubelska“, nie mieliśmy wcale na myśli szanownego pana Edwarda Füllera z Rozdołu, który jako inicjator zakupna „Unji“ przez kraj, jako ten, który zwołał zgromadzenie, a następnie traktował o kupno z Matejką, a w końcu jako członek ściślejszego komitetu dotąd urzędownie nierozwiązanego, mógł mieć wszelkie prawo do zabrania głosu w tej sprawie.

PAN MINISTER

przez
JULIUSZA CLARETIE.

CZĘŚĆ PIERWSZA

(Ciąg dalszy.)

Marjanna, przeciwnie, była dla niego typem prawdziwej Paryżanki; posiadała ów wdzięk upajający i ową wrodzoną pokusę do złego, której oprzeć się niepodobna, a jaką spotkać można niekiedy w spojrzeniu najuczciwszych nawet dziewcząt. Korzystając zaś z kilku słów dosłyszanych z opowiadania księcia de Rosas, było to opisanie fantastycznego sposobu, w jaki Indjanie przyrządzają truciznę, Sulpicjusz wysnuł wniosek, że najsubtelniejszą, najłagodniejszą, a zarazem nieuchronnie zabójczą trucizną jest spojrzenie kobiety, przenikające na wskroś mężczyznę i takiej to on właśnie, misternej, odurzającej pożądał dla siebie trucizny.

Pilno mu było doczekać się końca pogawędki pana de Rosas. Co jego obchodziły wszystkie te podróże, te przekłady z arabskiego, poezja Wschodu, albo amerykańska curara? Więcej go interesowało to, o czem teraz mogła myśleć taka piękna istota, jak Marjanna. Ach! jaka ona śliczna! Zapytał o jej nazwisko; przypadkiem nazwisko to nie było mu zupełnie obcem, miał sposobność poznać stryja Kajsera, który kiedyś wręczył mu litografowany memorjał »*O środkach umoralnienia sztuki przez myśl.*«

Słuchając dziś księcia de Rosas, minister doznawał takiego samego wrażenia jakiem przejęty bywał w Izbie, kiedy który z posłów, lubiących rozwlekle przemawiać, wstępował na trybunę w godzinę obiadową.

Nie mógł się też powstrzymać, żeby nie szepnąć do swego sąsiada, prezesa gabinetu:

— Możeby zażądać zamknięcia dyskusji?

P. Collard (z Nantes) uśmiechnął się, ale dyplomatycznie, to jest, niby podzielając to zdanie i jednocześnie zwracając uwagę, że kolega Vaudrey cokolwiek za mało ma powagi.

Zresztą książę nudnym był tylko dla Sulpicjusza. Wszyscy inni słuchali go z zachwytem. Sentymentalizm jego miał w sobie cokolwiek ironji, a w posępnym Kastylijczyku nie trudno było odgadnąć przebranego Paryżanina. Przy surowych rysach jego twarzy, najlżejszy uśmiech tem większego nabierał znaczenia. Marjanna znajdowała go zachwycającym, a raczej znalazła go takim samym, jakim go widziała dawniej, eleganckim, delikatnym i nadzwyczaj skromnym na wysokościach swojego stanowiska. Kiedy skończył, grzmot oklasków rozległ się w salonie; przyklaskiwano i z sal pobocznych, w których również cisnęli się słuchacze. Rosas wykwintnym ruchem ręki dawał wyraźnie do zrozumienia, że gawędka jego nie zasługiwała na podobne względy, a sypane mu oklaski przyjmował nie jak tenor, łaknący odznaczenia, ale jak człowiek salonowy, odpowiadający na złożony mu ukłon. Aby uniknąć dalszych owacji, znikł w tłumie stojącej po za nim młodzieży.

— Nareszcie! — rzekł — Vaudrey półgłosem.

Wyczekiwał tej chwili. Mógł więc już pomówić kilka słów z panną Kajser.

Rzucił się naprzód, aby jej podać ramię.

Gdyby nie pośpiech pani Marsy, która w

pierwszej zaraz chwili porwała pod swoją opiekę księcia de Rosas i tak już otoczonego licznem gronem znajomych, składających mu powinszowania, Marjanna sama byłaby podeszła wprost do niego, jak to już sobie poprzednio ułożyła. Ale i ramię Vaudreya nie było również do pogardzenia. Nowy minister był bohaterem dzisiejszego wieczoru. Spojrzała Sulpicjuszowi prosto w oczy, jakby chciała go zapytać, co ma znaczyć ten pośpiech, z jakim zbliżył się do niej, ale widząc pomięszanie jego, wynagrodziła mu to szydercze nieco spojrzenie pełnym wdzięku uśmiechem.

Wsparta na ramieniu ministra, promieniejąca zadowoleniem, przechodziła długim szpalerem gości. Wszystkie głowy schylały się przed nimi, na wszystkich ustach igrał życzliwy uśmiech. Marjanna wyobrażała sobie, że te ukłony i uśmiechy wyłącznie dla niej były przeznaczone. Czuła się stworzoną do odbierania hołdów. Teraz też wdzięczną była Sulpicjuszowi, że w pośród tylu pięknych kobiet, na nią właśnie padł jego wybór.

Rosas nie ucieknie jej przecież. A kto wie? może właśnie lepiej się stało, że nie ona księcia, ale książę jej będzie musiał szukać. Tymczasem przejdzie się po salonach pod rękę z ministrem. To także jest pewnym rodzajem tryumfu.

Vaudrey grzeczny, nadskakujący, bez cienia dumy wobec objawów czci, składanych mu niejako z obowiązku, wypowiadał od czasu do czasu jakiś komplement Marjannie, odkładając na później poufalszą z nią rozmowę.

Doszli nareszcie do bufetu, błyszczącego lśniącemi kryształami, złotawym szampanem, pieniącym się w kieliszkach rubinowemi barwy ponczu i różnokolorowemi lodami i sorbetami, gustownie przeplatanemi doborem okazałych owoców. Tu Vaudrey zatrzymał się, puścił rękę Marjanny, nie odstępując wszakże od niej i ofiarował jej podany mu przez lokaja talerzyk z sorbetami.

Otaczano go ciągle, niespokojne spojrzenia szukały jego wzroku. Wolny wybór: porcja lodów albo porcja wdzięcznych uśmiechów i ukłonów. Ale minister całą uwagę swoją zwracał jedynie na Marjannę i z wyszukaną uprzejmością troszczył się o spełnianie jej życzeń, jakby stanowczo pragnął dobijać się o względy pięknej nieznajomej.

Marjanna w stojącej postawie, srebrną wyzłacaną łyżeczką dziubiąc od niechcenia sorbet, z ciekawością kobiety odgadującej milczące oświadczyny, egzaminowała badawczym swym wzrokiem tego męża stanu, odznaczającego się tak wykwintnem salonowem obejściem. Żaden skąpiec bowiem nie odważa z takiem zajęciem nieznanej mu złotej monety, z jakiem kobieta oblicza i wymierza *wartość* nowego swego wielbiciela.

Nie trudno jej było odgadnąć, że niepospolite wywarła na Vaudreyu wrażenie. Oto mężczyzna! Posiadając tak zachwycającą żonę, ośmielał się jeszcze znajdować inne kobiety pięknemi i mówić im o tem, bo wszakże mówił to Marjannie. Mówił jej uśmiechem ust, błyskiem oczu, całem wreszcie swem obejściem, jakie okazywał wobec tej bladolicej piękności.

W zgiełku oblężonego bufetu i w obec tłumu, tworzącego mimowolnie półkole przed ministrem, niepodobna było swobodnie rozmawiać; przerywane zdania nikły zagłuszone w powietrzu, a pojedyńcze wyrazy, wpadając bez związku do ucha, kazały tylko odgadywać myśl niedopowiedzianą w całości. Podczas tej rozmowy, zmuszeni nachylać się ku sobie, aby się lepiej dosłyszeć, Marjanna i Vaudrey nieraz w takiem znaleźli się zbliżeniu, że oddech jej przebiegał po twarzy Sulpicjusza wraz z otaczającą ją zawsze upajającą wonią świeżo skoszonego siana. Spoglądał na nią z widocznem uwielbieniem i rzeczywiście też czarującą była w jasnoniebieskiej atłasowej swej sukni, z której wyłaniały się śnieżystej białości gors i ramiona. Dziwny jakiś, gorączkowy płomień ożywiał jej oczy, nie wielkie, ale niezmiernie przenikliwe; a maleńkie pulchniutkie usta różowe, były jak świeże maliny. Olśniewający blask świateł, nadawał włosom jej prawdziwie Tycjanowskie barwy, cała zaś postać wyzywająco piękna i powabny uśmiech zdradzały wyraźnie, że młoda kobieta zna potęgę swoich wdzięków.

Vaudrey doświadczył na sobie tej potęgi; silny dreszcz go przejmował na widok pięknej dziewczyny, co chłodząc się niby sorbetem, przyciągała go i wabiła ku sobie. I dziwić się temu nie można: trudno mu było oprzeć się urokowi wykwintnej Paryżanki, połączonemu z odrzucającym powabem kobiety w stroju balowym, drażniącej zmysły obnażonym gorsem i ramionami, których każda prawie żyłka, w blasku jarzącego światła, mieniła się perlistą inkrustacją.

Przy staniku sukni, po stronie serca, miała Marjanna przypiętego czarnego motyla z rozwartemi skrzydłami ciemnoponsowej barwy, suto przyozdobionemi brylantami. Vaudrey spostrzegłszy go, zapytał ją z uśmiechem, czy ten motyl ma być jej godłem.

Rozśmiała się.

— Rzeczywiście — odparła. — To samo co mam na piersiach, jest i w mojej głowie. Czarne motyle... albo djabełki niebieskie, jak kto chce!

— Nie stanowisz pani wyjątku — rzekł Sulpicjusz. — Jest to właściwością wszystkich kobiet.

— Zatem, pańskiem zdaniem, panie ministrze, wszystkim kobietom... jakby to powiedzieć... miałoby brakować stateczności?

Minister rozśmiał się także i patrząc w oczy Marjanny, tryskające elektrycznym blaskiem kociego wzroku, cokolwiek złagodzonym długich rzęsów cieniem — odpowiedział:

— Tego nie mówię, ale mam do zarzucenia kobietom, że owe motyle czy djabełki niebieskie, o jakich pani wspomniałaś, zastępują im zupełnie niezmierzony obszar błękitów, który powinien być wyłącznym ich żywiołem. Minęły już czasy, kiedy kobiety lubowały się w lazurach, jak mówią poeci prowincjonalni; dziś jeszcze tylko mężczyźni są tak naiwni, iż gonią za błękitami w życiu i w uczuciach.

Czy to z zamiarem, czy też bezwiednie, zbliżył się bardziej jeszcze do tej czarownej istoty, co go studjowała z zimną krwią wytrawnego strategika, podczas gdy on, pieszcząc ją spojrzeniem, gubił się sam w „błękitach“, o których mówił z wewnętrznem przekonaniem, napróżno udaną ironją usiłując pokryć szczerość słów swoich. Marjanna w tym samym żartobliwym tonie ciągnęła rozpoczętą sprzeczkę, wskazując na jasno niebieską swą suknię:

— Masz pan dowód, panie ministrze, że nie wszystkie kobiety lekceważą błękitny kolor.

— Tak, o ile jest w modzie! I bez najmniejszej wątpliwości, są nim zachwycone nawet, jeśli przypada im tak do wdzięków twarzy, jak dzisiejsza toaleta pani.

— Owszem, lubią go i pod innemi względami... w uczuciach i w życiu. To zależy od kobiety... i od mężczyzny — dodała z naciskiem, pokazując białe swe ząbki w szczerym, serdecznym uśmiechu.

Położyła łyżeczkę na talerzyku i nie dokończywszy sorbetu, oddała go lokajowi. W ruchu tym, przypadkowo, a może też z umyślnem wyrachowaniem, pulchne, jakby utoczone jej ramię, prawie dotknęło twarzy i ust Sulpicjusza; oszołomiony minister zaledwie zdołał się oprzeć nęcącej pokusie studenckiej ucałowania w przelocie tych alabastrów.

Wolał więc przymknąć oczy, a gdy w jedną sekundę później otworzył je napowrót, niebezpieczeństwo już przeminęło, przed nim stała znowu ta sama panna Kajser, z wachlarzem w ręku, a on mówił do niej z należytym spokojem:

— Zdaje mi się, że w takim samym stroju, jaki pani masz dzisiaj na sobie, widziałem portret pani w Salonie?

— Nie mylisz się pan. Jest to nawet najlepszy utwór pędzla mojego stryja.

— Zanim panią poznałem i ja byłem tego samego zdania, ale teraz... Pełen znaczenia uśmiech miał być uzupełnieniem niedokończonej myśli.

Ale dla Marjanny uśmiech ten nie wystarczał. Chciała usłyszeć komplement w całości.

— Ale teraz?... — powtórzyła, krasząc swe usta najwdzięczniejszym, na jaki zdobyć się mogła uśmiechem.

— Teraz, przekonałem się, że oryginał owiele przewyższa kopję.

— Zwykle wszyscy tak mówią, panie ministrze, z wyjątkiem może samego artysty tylko, a ja tem większy mam powód do obawy, że może znajdujesz mnie pan taką, patrząc przez owe ulubione przez siebie błękity!

— Które od dzisiejszego wieczoru stokroć milsze mi będą — rzekł głosem zmienionym w skutek prawdziwego wzruszenia.

Marjanna nic nie odpowiedziała, spojrzała mu tylko w oczy, jakby dając mu do zrozumienia, że go pojęła. Lica jego okryły się bladością.

— Mam nadzieję, że nie odmówisz mi pani i zechcesz być jedną z gwiazd moich salonów, tak jak nią tu pani jesteś? — szepnął po cichutku.

— Z największą przyjemnością, panie ministrze!

Na to, co mówił Sulpicjusz, nie zwracano uwagi; ale Marjanna czuła, że oczy wszystkich śledzą ją, że jej zazdroszczą już, i dumna z tego, z tryumfem wznosiła głowę. Wśród tej atmosfery przepełnionej hołdami, jakby wonią nie przerwanych kadzideł, po raz pierwszy w życiu napawała się narkotykiem władzy, której wcieleniem był Vaudrey, a której odblask padał w znacznej części na nią, dzięki poufałemu sam na sam, jakiem minister wyszczególnił ją z pośród tłumu.

W upojeniu, w zachwycie, prawie zapomniała już, że przybyła tu dla księcia de Rosas.

Vaudrey chciał jeszcze coś mówić, kiedy pani Marsy, przechodząc pomiędzy gośćmi i dla każdego mając jakieś uprzejme słówko w zapasie, spostrzegła Marjannę. Ujęła ją za rękę i zwracając się do Sulpicjusza:

— Najmocniej przepraszam pana ministra —

rzekła — ale porywam ją panu. Upominają mi się o nią!

— Któż taki? — zapytał Vaudrey.

— Pan de Rosas!

Vaudrey spojrzał na Marjannę. Na bladych jej licach wyraźnie dostrzegł błyskawiczny promień radości, a odkrycie to sprawiło mu jakąś przykrość dziwną, jakby cierpienie fizyczne. Bóg raczy wiedzieć, dla czego i po co?

Marjanna pożegnała go uśmiechem; on odkłonił się schyleniem głowy i z pewnym rodzajem gniewu patrzył za odchodzącą, uprowadzoną przez Sabinę, niknącą wreszcie w tłumie czarnych fraków i różnobarwnych toalet, jakby żałując, że tak mało jeszcze powiedział kobiecie obcej mu zupełnie, kobiecie, którą dziś po raz pierwszy dopiero spotkał.

Ale w tejże chwili otoczyli go ściśniętem kołem jego koledzy z Izby deputowanych, osoby obojętne i natrętni żebracy, kołatający do względów jego ekscelencji, co niecierpliwie wyczekiwali końca rozmowy z panną Kajser i chętnie byliby sami przyspieszyli ten koniec, gdyby nie wstrzymywała ich obawa, że mogą popełnić niedyskrecję.

Vaudrey uląkł się tej napaści obcych i wśród nieznanych twarzy, szukał jakiegoś znajomego, przyjaznego oblicza. Oko jego padło nagle na mężczyznę w dojrzalszym już wieku, szczupłej postawy, z siwą, starannie utrzymaną brodą. Spostrzegłszy go, zawołał uradowany:

— Nie mylę się! wszak to Ramel!

I z serdecznym wyrazem na twarzy wyciągnął obie ręce do owego sześćdziesięcioletniego mężczyzny, w białej chusteczce na szyi, zamiast krawatu i w czarnej kamizelce, zapiętej według staroświeckiej mody, po samą górę, czem oryginalnie wyróżniał się od młodzieży, cisnącej się na okół ministra

— Jak się masz, Ramel! Ah! jakżeż rad jestem, że cię spotykam!

— I ja również — odpowiedział dźwięcznym i sympatycznym głosem Ramel, którego twarz, pozornie surowa, a w istocie mężka, o przyjemnych rysach, rozjaśniła się nagle. — Przyszedłem tu nawet głównie po to, żeby się z tobą zobaczyć.

— Czy być może?

— Naprawdę. Chciałem uścisnąć twoją rękę. Tak już dawno nie widzieliśmy się! A ileż to zmian zaszło od owego czasu!

— Ah! mój drogi! któżby to był przewidział, kiedym ci przynosił pierwsze moje artykuły do „Nation française“, że zostanę ministrem!

— Bah! Któż dziś nie zostaje ministrem? — odrzekł Ramel. — Ty jesteś nim obecnie! Dobrzeby było, żebyś sobie przypomniał słowa Napoleona I-go, kiedy wchodził do Tuileriów: „Jesteśmy tu — rzekł do Bourrienne'a — ale teraz starajmy się, aby tu pozostać.“

— Słowo w słowo toż samo powiedział mi Granet, zawiadamiając mnie o nowej kombinacji ministerjalnej.

— Z tą tylko różnicą, że Granet powiedział to z pewną ukrytą myślą, nie tak jak twój stary Ramel.

— Bo też ty jesteś najlepszym moim przyjacielem! — rzekł wzruszony Vaudrey, ściskając obie ręce p. Ramel.

— Słowa te tem większej nabierają w twoich ustach wartości, kochany mój Sulpicjuszu, że teraz pewno nie zbywa ci na przyjaciołach.

— Zawsze jeszcze pessymistą jesteś?

— Kto, ja? Ale gdzież tam! Owszem, jestem zaciekłym optymistą, skoro wszystkim i wszystkiemu wierzę. Ale z tej samej wychodząc zasady, muszę także wierzyć w uniżoność moich bliźnich. A w tym względzie, nie mylę się wcale.

— Zkądże ty się wziąłeś u pani Marsy, ty, coś był zawsze takim dzikim?...

— Oswoiłem się — dokończył Ramel. — Powtarzam ci, żem się dowiedział, iż ciebie tu zastanę, a oprócz tego pan Rosas miał opowiadać o dzikich ludziach, dla których szczególniejszy czuję afekt. Gdybym był bogaty, albo gdyby mi przynajmniej na utrzymanie starczyło, spędziłbym całe życie w podróżach... A tak, przeżyłem pomiędzy Montmartre i Batignolles... jak żółw marzący o skrzydłach jaskółczych!...

— Poczciwy mój przyjacielu! — zawołał minister — czy chcesz abym cię posłał na jaką wyprawę naukową? Wskaż mi tylko miejsce, dokąd pragnąłbyś się udać.

— Z moim reumatyzmem?... Dziękuję waszej ekscelencji — odpowiedział śmiejąc się Ramel. — Nie, nie, jestem już za stary na to! A przytem, przez całe życie nikogo o nic nie prosiłem: w moim zaś wieku, trudny byłby początek.

— Nie ty prosisz, ale ofiaruję ci.

— A ja nie przyjmuję, bo nie mam apetytu. Odbywam teraz *dolce farniente* przed snem ostatecznym. Jest to stan wielce przyjemny. Tyle się rzeczy i ludzi widziało, że już niczego się nie pragnie!

— To prawda — rzekł minister — bo gdyby ci wszyscy, którym zrobiłeś w swem życiu coś dobrego, otrzymali zaproszenie od pani Marsy, z pewnością nie pomieściliby się w obszernych jej salonach!

— Bah! i oni pozapominali o tem i ja nie pamiętam także — odparł Ramel, potrząsając głową i łagodnie się uśmiechając.

Vaudrey niezmiernie był ucieszony, że w tym tłumie obojętnych albo natrętnych wielbicieli, odszukał człowieka, którego niegdyś poznał w Paryżu, a potem z głębi prowincji, korespondował z nim jakby z blizkim swoim krewnym. Rzeczywiście, było to pokrewieństwo duchowe, pokrewieństwo umysłów, łączące starego weterana prasy z młodym mężem stanu. Wspólność wymarzonych ideałów, obok różnicy usposobień i charakterów. Ramel oddawna pozbył, jeśli ją miewał kiedykolwiek, trawiącej gorączki walk politycznych i żądzy władzy, która w najlepsze jeszcze tętniła we krwi Vaudreya.

— Wiele już wody upłynęło, — mawiał — od chwili, kiedy puls mój się ustatkował. Do świadczenie zastąpiło mi miejsce uspakajającej chininy.

Dyonizy Ramel był mędrcem w całem tego słowa znaczeniu. Życie przyjmował takiem, jakiem jest, bez entuzjazmu, ale i bez goryczy. W sześćdziesiątym roku życia, strawionego w ciężkiej, wytrwałej, nieustannej pracy, był tak samo biednym jak wówczas, gdy z głową pełną gorących marzeń, po raz pierwszy na scenę świata wstępował. Żywot swój spędził uczciwie; jako dziennikarz — ale dziennikarz dawnej daty, nie z dzisiejszych bezmyślnych gawędziarzy — wykonywał ulubiony swój zawód z całą sumiennością; wiele czytał, wiele pisał, wszystkiego się dotykał, wszystko musiał poruszyć; nigdy jednak nie splamił swej ręki i po czterdziestoletniej ciężkiej codziennej pracy, jak we młynie bez przerwy się powtarzającej, stanął u kresu drogi, nad grobem, bez żadnego majątku, chociaż koło Fortuny toczyło się tąż samą, którą i on kroczył ścieżką, chociaż stokroć razy przyjazna sposobność wzbogacenia się sama mu się nasuwała do ręki. Znużony i sterany, zapomniany prawie, nieznany lub zapoznany przez nową generację, która go nazywała „starym“, siwowłosy ten entuzjasta więcej jeszcze posiadał zapału, aniżeli wszyscy ci młodzi, którym pilno było jego miejsce zastąpić.

W publicystycznym swym zawodzie, w charakterze reprezentanta *Opinii*, niejednokrotnie zdarzało się Ramelowi być obecnym, bez osobistego wszakże udziału, przy zakładaniu syndykatów, przy rozdziale akcji, przy szacherkach finansowych; a popierając przedsiębiorstwa, które mu się dobremi wydawały, dyskredytując inne, wydające mu się podejrzanemi, robił ludzi milionerami, nie żądając od nich ani jednego centima, jak robił innych ministrami bez pretensji nawet do kawałka wstążeczki czerwonej.

Najmilszem jego zajęciem było takie wyszukiwanie ludzi! Wszystkich tych aktorów wielkiej komedji społecznej, znał on z pierwszych wystąpień, kiedy wątpiąc o sobie, wzywali jego pomocy. Temu mężowi stanu, popisującemu się dzisiaj z swoją wymową na trybunie parlamentarnej, on poprawiał pierwsze mowy. Temu członkowi akademii sztuk pięknych, dziś reprezentantowi sztuki narodowej w Willi Medyceuszów, on dodawał odwagi i namówił do ubiegania się o wielką nagrodę rzymską. Ten artysta-muzyk, milioner dzisiaj, nachodził go z prośbami o poparcie i jakby jałmużny, prosił o przyjęcie biletu na koncert w sali Herza. On pierwszy wyróżnił z tłumu tego poetę, zasiadającego dzisiaj w gronie czterdziestu nieśmiertelnych; pierwszy, przepowiedział świetną przyszłość początkującemu tenorowi, który dzisiaj posiada wille w Nicei.

A teraz, kiedy stargał swe siły, nie tracąc przecież nigdy żartobliwego humoru, nie dając się ani uwieść ani oślepić chimerami kapryśnego losu, Dyonizy Ramel zapytywany, dla czego, pomimo zdolności swoich, nie został ani deputowanym, ani milionerem, ani członkiem instytutu, zwykł był odpowiadać z uśmiechem człowieka, co zgłębił treść życia:

— Ba! po co mi to? Nie ma czego zazdrościć! Alboż to ja nie znam tych panów ministrów, akademików, milionerów, prefektów i innych znakomitości? Sam ich tworzyłem przez całe życie, a większa część pod mojem okiem pierwsze swe kroki stawiała.

I, jak przystoi na filozofa, puszczając naprzód tłuszczę, której mógł był przewodzić, a której wolał być sędzią, zamykał się w swoim pokoiku, w towarzystwie swych książek, obrazów i zbiorów składanych, sztuka po sztuce, przez długie lata i paląc fajkę, rozmyślał z upodobaniem o swej przeszłości, jakby przerzucał kartki zajmującego albumu; lub też spotkawszy jaką znakomitość dzisiejszą, co udawała że go nie widzi, albo protekcjonalnie skinęła mu głową zamiast ukłonu — szeptał sobie w duchu:

— Ej nie bywałeś ty bratku takim dumnym, kiedy przychodziłeś mnie prosić o przychylny artykulik, albo o „zaliczkę“ z kasy dziennika!

Ramel zawsze był niezmiernie przywiązany do Sulpicjusza Vaudrey. Upatrywał w nim naturę szlachetniejszą i mniej zapominającą od innych. Vaudrey nigdy nie bawił się w „pozowanie.“ Zostawszy już nawet ministrem, sam z wielkiem wzruszeniem przypominał początkowe swoje ciężkie chwile. Jednym z tych, dla których zachował życzliwość z dawnych czasów, był ukochany przezeń Ramel, główny redaktor dziennika „Nation Francaise.“ Nie zapomiał o nim ani na chwilę, i przy pierwszej zaraz sposobności, chciał go wydobyć z ukrycia i postawić na pierwszym planie tego sześćdziesięcioletniego starca, co tylu innych, mniej zdolnych od siebie, w szeroki świat wprowadził, zapominając zupełnie o sobie samym.

Powtarzał mu to wszystko i dziś jeszcze, uszczęśliwiony, że w tym tłumie obojętnych, spotkał kogoś, przed kim mógł się szczerze wywnętrzyć.

— Słuchaj, Ramel, — mówił, — chcesz zostać moim jeneralnym sekretarzem?

— Nie chcę, panie ministrze, — odpowiedział Ramel z łagodnym swym uśmiechem.

— Poświęć się dla mnie, będziesz mi dopomagał.

— Nie, nie! Zbyt wielkim jestem egoistą, mój drogi Sulpicjuszu; nie chcę w nikim rozbudzać zazdrości! Wiesz co, oto zrób swoim sekretarzem pana Navarrot, — dodał wskazując wykwintnego eleganta, z głową w górę zadartą, który przed chwilą właśnie witał się z Vaudreyem, nie omieszkawszy w jednem zdaniu ośm razy powtórzyć: „Kochany ministrze... panie ministrze... ministrze drogi...“

— Kogo? Navarrota?

— Widocznie zakochał się w tobie!

— Jesteś złośliwy mój drogi! Kocha on urząd, ale nie osobę, nie jest on przyjacielem ministra, tylko ministrów. Pospolity to typ klakierów ministerjalnych. Przyklaskuje każdemu słowu wyrzeczonemu przez Ich Ekscelencje!

— Och! znam ja tych klakierów, — zawołał stary dziennikarz. — Dopóki minister jest ministrem, przyklaskują mu; ale skoro tylko powinie mu się noga, sami go w przepaść strącają.

Vaudrey pogroził mu z uśmiechem, mówiąc: Oj, ty gazeciarzu! a potem dodał podając mu rękę:

— Ale przynajmniej odwiedzisz mnie?

— Niezawodnie!

— A mieszkasz zawsze?...

— Przy ulicy Boursault, bulwar batiniolski.

— Do prędkiego więc zobaczenia, mój drogi. Zawsze liczę na ciebie, że w danym razie nie odmówisz mi swojej rady.

— Gotów jestem na wszystko, czego zażądasz odemnie, ale z wyjątkiem posady, och! tego nie wymagaj napróżno! — odpowiedział z uśmiechem Ramel.

Vaudrey z wielką przyjemnością rozmawiał ze starym swoim przyjacielem; pomimo to, już od kilku chwil owładnęło nim gorące pragnienie odszukania w wzrastającym coraz ścisku gości, tej powabnej dziewczyny, co ukazała mu się jak żywe wcielenie żądzy, żądzy ponętnej, ale drażniącej zarazem i sprawiającej niepokój.

Jeśli ukazał się na salonach pani Marsy, uczynił to prawie przymusowo, a właściwie korzystał on jedynie ze sposobności pochwalenia się publicznie swoim tryumfem — podobnież jak świeżo udekorowany kawaler chętnie spieszy na każde zaproszenie, aby pokazać światu czerwoną swoją wstążeczkę. Przybywając tu, zamierzał w istocie pokazać się tylko, a spełniwszy w ten sposób życzenie pani domu, usunąć się zaraz i powrócić z Adrjanną do miłego sam na sam, tak rzadko się zdarzającego od czasu gdy zajęli pałac przy placu Beauveau.

Nie był on nigdy zwolennikiem zabaw podobnych jak dzisiejsza, owych wieczorów, na które tłoczy się po sześćset osób do salonów mogących pomieścić zaledwie sześćdziesiąt; gdzie gospodarz cieszy się widząc, że goście jego gniotą się i duszą w tłoku; gdzie pięścią torować sobie trzeba wstęp do salonu, szturmem zdobywać porcję lodów, a kompletną staczać bitwę dla odebrania swego futra. Wstręt w nim zbudzały owe salony, w których się nie rozmawia, bo obecni nie znają się pomiędzy sobą; gdzie w odurzającym gwarze tłumów lub w usypiającej ciszy koncertowej, niepodobna jednego zamienić słowa, ręki przyjaciela uścisnąć swobodnie. Cudem prawie udało mu się dzisiaj rozmawiać przed chwilą z panną Kajser i z Dyonizym. Niebawem owładnęły nim tłumy, co było tem naturalniejszem, że wszystkich spojrzenia i myśli ku niemu się dzisiaj zwracały.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Boberski Wl. prof.* Choroby roślinne, 8-ka, str. 1881.

— *Eden C. H.* Ula. Powieść z krainy Zulusów i Cetewaja; z angielskiego tłumaczył St. Ot. 1 złr. 50 ct.

— *Hirschberg Aleks.* Przymierze z Francją w roku 1524. Ustęp z dziejów polityki polskiej za Zygmunta I. 80 ct.

— *Kudelka Szczęsny dr.* Choroby roślin gospodarskich, ich przyczyny i środki zaradcze dla użytku uczniów szkół rolniczych i gospodarzy praktycznych. 2 złr.

— *Lasota A. W.* Kościuszko pod Racławicami. Obraz historyczno-ludowy w pięciu oddziałach. 8-ka, str. 156, wydanie drugie z muzyką. 80 ct.

— *Łoziński Bronisław dr.* Wieczna wojna. Studjum polityczne. 8-ka, str. 56. Kraków 1882. 60 ct.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Medaljon Mickiewicza, rokoty Brodzkiego, został już ostatecznie wmurowany w ścianę domu w Karlsbadzie, w którym wielki poeta 27 lat temu zamieszkiwał.

Donosiliśmy już w swoim czasie o sprawieniu nowej i ozdobnej szafki na pomieszczenie albumu Mickiewiczowskiego, i utworzeniu tym sposobem dla tej książki pamiątkowej przeglądanej przez wszystkich prawie Polaków bawiących na kuracji w Karlsbadzie godnego jej schronienia.

Wszystko to dopełnionem zostało z funduszu zebranego ze składek tych gości, pragnących tym sposobem utrwalić na ziemi obcej, pamięć drogiego im imienia...

Dodać należy, iż znany dobrze wszystkim Polakom przybywającym do Karlsbadu doktor Hassewicz przyczynił się nie mało do doprowadzenia do skutku tego dzieła, które bez żadnych szumnych zapowiedzi i narad ukończyło się w cichości, ale skutecznie.

*** Typ Robinsona Crusoë, unieśmiertelniony przez Daniela de Foë, znalazł wierne odbicie w synu pastora protestanckiego z Berna nazwiskiem v. Rodt.

Życie v. Rodta było wielce burzliwe.

Mając lat dwadzieścia i jeden, wstąpił do wojska austrjackiego w stopniu oficera w kirasjerach i walczył dzielnie w czasie kampanji austrjacko-pruskiej w roku 1866.

Pod Nachodem otrzymał ciężką ranę, która go zmusiła do opuszczenia służby.

Po zawarciu przymierza przemieszkiwał on przez lat kilka w Paryżu, żyjąc z pensji udzielonej mu przez rząd austrjacki.

Gdy wybuchła wojna francusko-pruska, zaciągnął się do armji francuskiej i odznaczył się męztwem pod Champigny.

Rodt wyemigrował w roku 1871 do Chili.

Wkrótce potem tak dobrze mu się powiodło, iż mógł wynająć od rządu chilijskiego wyspę Juan-Fernanandez dla wytworzenia tu kolonji.

Na tej to właśnie wyspie *Daniel de Foë* ulokował swego prawdziwego bohatera, Robinsona; zdaje się, iż v. Rodt marzył o uosobieniu tego typu legendowego...

Kupił on statek i przewiózł na Juan-Fernandez pewną liczbę kolonistów, uprawiających grunt i hodujących bydło pod jego kierunkiem.

Utworzona w ten sposób nowa stacja morska służy obecnie do zaopatrywania w żywność statków łowiących wieloryby.

*** *The Hawaian Gazette*, organ wychodzący w Honolulu, stolicy wysp Sandwich, rozpoczął siedmnasty rok istnienia.

Właścicielem i wydawcą tego pisma wychodzącego w wielkim formacie w języku angielskim jest... król Kalakaua!

Pisuje on tam zazwyczaj kroniki polityczne, opatrzone podpisem *Modus in rebus*, a obecnie w odcinku ogłasza swoje wrażenia z podróży.

W jednym z najświeższych numerów *Hawaian Gazette* znajduje się na czele kilka dekretów podpisanych przez stryjeczną wnuczkę króla, księżnę Ruth Kcelikolau, sprawującą rejencję pod jego nieobecność.

Jeden z tych dekretów mówi o kwestjach wymagających załatwienia pomiędzy królestwem hawajskiem a republiką francuską.

Prezydenta Grevy dekret nazywa: „Naszym wielkim i dobrym przyjacielem.“

Nowiny sądowe stanowią ciekawą część dziennika; jest to nieskończony szereg kar wymierzonych na różne osoby w kwotach od 5 do 10 dolarów za pijaństwo.

Na czwartej stronnicy pomiędzy doniesieniami o rozrywkach publicznych znajduje się anons zapowiadający wyścigi kobiet i podany jako inserat płatny, utwór poetyczny p. n. "Skradzione pocałunki."

W odcinku znajduje się romans p. t. *Lajos*, którego akcja odbywa się częścią w Węgrzech a częścią na archipelagu hawajskim...

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.